Nr. 12 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 czerwca 1931** | **Rok 53**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małop° lskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 22 z r. 1931, zawiera: Protest. — A. Longchamps: A było to tak... — M. Z.: Nieudała wyprawa. — Aleksander Janta-Połczyński: Kronika łowiecka. Prasa a sprawy myśliwskie. — Wł. Słonczyński: Ostatnie wyniki badań strzału śrutowego. — Władysław Zabiełło: Przed stu laty. — Protokół posiedzenia Zarządu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. — Z prasy łowieckiej. — Kronika myśliwska. Z żałobnej karty. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości handlowe.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 23 z r. 1931, zawiera: Janusz Domaniewski: Perkoz dwuczubny. — H. T.: Na ciągach słonek. — Józef Gadomski: Polowanie w Peru na terenach Kolonji Polskiej „Muntannie Loretto“. — Emil Karney: Historja i ocena różnych metod tresury wyżła. — Adam Rzewuski: W sprawie strzałów z lunetą. — Inż. Władysław Burzyński: W sprawie rozwoju sportu kulowego w myślistwie. — Jan Siemieński: Moje pierwsze koguty. — O zrzucaniu wieńców. — Kalendarz łowiecki na czerwiec. — Guertler Władysław: Z łowisk rzeszowskich. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące.

KOMUNIKAT

Otrzymujemy od Wielkopolskiego Związku Myśliwych następujące pismo z prośbą podania go do wiadomości naszych członków i czytelników:

Wielkopolski Związek Myśliwych urządza w dniach 25 i 26 czerwca b. r. doroczne Konkursowe Strzelanie Myśliwskie na strzelnicy Bractwa Kurkowego w Szelągu pod Poznaniem a mianowicie w pierwszy dzień strzelanie kulowe, w drugi dzień strzelanie śrutowe do rzutków.

Początek strzelania o godz. 9-tej rano.

Urządzenie konkursu zależnem będzie od dostatecznej ilości biorących udział w konkursie. W razie dojścia do skutku urządzenia konkursu podamy w swoim czasie dokładny program w następujących gazetach: Kurjer Poznański, Dziennik Poznański, Nowy Kurjer, Orędownik Wlkp., Goniec Wlkp., A. B. C., Przegląd Leśniczy i Gazeta Bydgoska.

Sekretarz: w z. **Górski**

Prezes: **Chłapowski**

TREŚĆ NUMERU 12:

Nr. 12 We Lwowie, 16 czerwca 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

JAN DROHOJOWSKI

Z kulą na zająca

Przeczytawszy artykuł p. Dr. W. B., jednego z najlepszych myśliwych i strzelców, jakich mam zaszczyt znać, o strzelaniu kulami do zajęcy i ja w tej sprawie chciałbym moje zdanie wypowiedzieć.

Od 1910 r. śrutu w kniei nie używam, strzelając wyłącznie kulami z różnych kalibrów.

Do zajęcy strzelałem z następujących systemów broni kulowej, expres 450 i 360, kule w płaszczach miedzianych, 6 i 5 g dymnego prochu, — z Manlichera kaliber 8,2 mm, kule expresowe (t. zw. higieniczne), — Mannlicher-Schönauer kal. 6,6 mm, kule z końcem ołowianym 1/8 część ołowiu, — P 27, tj. kal. 6,5 mm 1 g bezd. prochu, kal. 5,2 mm — i wreszcie z dwóch najnowszych kal. Winchester 25/35 i Savage 22, kule z końcami ołowianemi, płaszcze miedziane.

Prócz tego zabiłem dwadzieścia kilka zajęcy okrągłemi kulami z gładkich strzelb kal. 32 i 12. Strzelałem też z karabinu Fruwirtha, kal. 11 mm 2½ g dymnego prochu, kula ołowiana szpiczasta; był to mój pierwszy sztuciec. Zabiłem z niego około 10 zajęcy i pięćdziesiąt kilka rogaczy, dokładnie nie pamiętam, bo mi zapiski zginęły podczas wojny. Tak rogacze jak i zające, nawet doskonale trafione, chodziły światami, rogacz potrzebował zwykle 2—3 kul, nim się raczył położyć, zając przestrzelony nawet przez płuca, szedł daleko, myśląc, że to za mała kula. Zacząłem strzelać okrągłemi kulami ze śrutówek kal. 32 i 12, trafić naturalnie było o wiele trudniej, ale zato zwierzyna trafiona, chodziła jeszcze dalej. Potem dopiero, przekonałem się, że to nie wielkość kalibru zabija.

Kilkadziesiąt zajęcy zabiłem z expresa 450 i ciekawa rzecz, że zające po tak dużym kalibrze i pocisku o dużej sile żywej jednak chodzą. Nieraz dokładnie wypatroszony zając, idzie sto kilkadziesiąt kroków i dopiero po długich gonitwach daje się złapać. Z expresa 360 zabiłem około 500 zajęcy, oprócz innej zwierzyny, zające przeważnie chodziły światami, trochę przynosiła nagonka, trochę strzelali sąsiedzi, jednem słowem, miałem dużo kłopotu. To samo mniej więcej da się powiedzieć o P 27, Mannlicherze-Schönauerze i kal. 5,2 mm. Nawet bardzo dobrze trafiony zając, idzie nieraz światami, co na polowaniach nagonkowych zwłaszcza, gdzie jest dużo zajęcy, jest bardzo nieprzyjemne i ambarasujące.

Wszystkie powyższe kalibry mają jednak jeszcze i inne o wiele ważniejsze wady, niż ta, że nie kładą zajęcy w ogniu. Mojem zdaniem największą ich wadą jest to, że kule wszystkich tych kalibrów mają wielką skłonność do rykoszetów i dlatego mojem zdaniem na polowaniach gremjalnych, strzelanie do zajęcy z wymienio-

nych powyżej kal. powinno być najsurowiej zakazane.

Z czego zatem strzelać i czy jest idealny sztuciec, wreszcie czego wymagać od ideału?

Ideału naturalnie niema, ale są dwa kal. bardzo do ideału zbliżone, są to: **Winchester** $^{25}/_{35}$ i **Savage 22.**

Od ideału wymagam wielkiej chyżości początkowej (jak się strzela w biegu, żeby kula była tam, gdzie błyśnie muszka) wielkiej żywej siły pocisku, żeby kula dobrze cięła gałęzie, nie tracąc przy tem kierunku, żeby nigdy nie rykoszetowała, wreszcie, by zwierz zabity miał wygląd możliwy.

Winchester $^{25}/_{35}$ zabija dobrze, ale nie niezawodnie, zając trafiony nisko w brzuch, czasem choć rzadko i sto kroków pójdzie, kula świetnie tnie gałęzie, tak że zupełnie spokojnie można strzelać, gdy się tylko widzi cień zwierza w gąszczu.

Grubego zwierza, jak dzik i jeleń, kaliber ten kładzie w ogniu nawet przy gorszych strzałach i daje zawsze dużo farby, tak, że odnalezienie postrzałka nie robi trudności nawet na czarnej stopie; daje bardzo rzadkie rykoszety.

Do tej pory zabiłem z górą tysiąc sztuk różnej zwierzyny z tego kalibru, a wystrzelałem przeszło 4000 ładunków, miałem tylko dwa rykoszety; wreszcie mało rozdziera drobną zwierzynę.

Następny, a mój najbardziej ulubiony kal. Savage 22, wszelką zwierzynę kładzie w ogniu, zając tylko dotknięty w korpus tą kulą, rozciąga się na miejscu, dzik i jeleń wali się w ogniu, nawet twardy wilk, bardzo „lubi" tę kulę i w miejscu ruluje. Kula ta doskonale tnie gałęzie i nigdy nie rykoszetuje; na tysiąc dwieście kilkadziesiąt sztuk zabitej zwierzyny, przy wystrzelaniu około pięciu tysięcy ładunków w najrozmaitszym terenie, nie miałem ani jednego rykoszetu.

Można temu kal. robić dwa zarzuty: przy grubej zwierzynie daje mało farby a zające czasem bardzo rozdziera. Zając strzelony na sztych, zwłaszcza przez krzaki (kula dochodzi już zdeformowana) czasem w dosłownem znaczeniu eksploduje, ale są to wyjątki. Normalnie strzelony zając na połeć lub kulawy sztych jest zwykle mało uszkodzony.

Podaję kilka przykładów działania kuli Savage 22 z mojej praktyki myśliwskiej. Z ostrożności podaję świadków i miejscowości.

Polowaliśmy w lasach rządowych Świnarzyna na Wołyniu. Koło mnie stoi znany Małopolski myśliwy pan Stanisław Pieńczykowski. Na trzydzieści kroków odemnie siada na dębie jarząbek i zaczyna spacerować po gałęzi, strzelam, jarząbek spada. Po miocie podnoszę go, jest cały, kula urwała mu tylko dwie lotki w prawem skrzydełku a jednak zginął.

Podobny wypadek miałem u hr. Franciszka Mycielskiego w Węgierce. Polowaliśmy we dwóch z gospodarzem na dziki. Z bocznego miotu wyleciał jarząbek i siadł na buku. Po miocie podszedłem i strzeliłem; spadł, odbił się od ziemi, poczem przeleciał jeszcze kilkanaście kroków i znów upadł; z dzióbka płynęła farba, zresztą był nieuszkodzony. Po oskubaniu okazała się wielka krwią nabiegła plama na piersiach; sekcja wykazała zupełne przekrwienie płuc.

Trzeci również bardzo ciekawy wypadek miałem na polowaniu w Horodnicy u ks. Józefa Jabłonowskiego.

HERMANN MATTAUSCH

Ostatnie czaty

przełożył na polskie Adam Gołębski

Myśliwski zaprząg czekał na podjeździe. Wsparty na ramieniu sługi, wyszedł hrabia Leon Hassdorff. Opuszczeniem bata oddał ukłon stangret. Sprężony stał na boku strzelec i nisko uchylił zdobny w cietrzewie pióro kapelusz. Znużonem skinieniem przyjął hrabia ukłon i nawpół wniesiony, zajął miejsce w myśliwskim wózku. Jego pochylona postać, blada, wynędzniała, o szlachetnym profilu twarz, zdradzały zaledwie przebytą ciężką chorobę. Nie doszedłszy jeszcze lat pięćdziesięciu, nosił już na sobie brzemię starości.

Po przez bogato porosłe pola i łąki zmierzał wózek do lasu. Do wesołych promieni słońca śmiało wznosiły trawy źdźbła, kwiaty główki, zboża kłosy, prosząc o światło, ciepło miłość i życie. Przyjaźnie, zdawało się słońce przyjmować zaklęcia i popłynął jeszcze bogaciej i cieplej promień, jak pocałunek kochanki, co na pożegnanie goręcej płonie. Rozbujane w powietrzu motyle niosły poselstwo miłości z kwiatu na kwiat. Zadumanem spojrzeniem śledził hrabia tęsknicę życia i zwiastujące nadejście wieczoru, coraz bardziej blednące słoneczne blaski. Znacząco ożywiły się rysy Hassdorffa, w oczach zapłonęły dawno już zapomniane błyski.

Na długo odłożyć musiał rozkosze łowieckie, dzisiaj znowu wybrał się na pierwszego rogacza, na rudego na zrębie. Nie zawiodły oznaki wracającej energji, bo skoro tylko wózek w miejscu stanął, opuścił go Hassdorff bez pomocy i wyprzedzając strzelca, lekko kroczył leśną ścieżyną do pobliskiej czatowni. Po drabinie wspiąć się na tę wysoką, w połowie starej jodły zawieszoną czatownię, nie zdawało się sprawiać hrabiemu trudności. Z cichym szelestem posypały się w zakołysaniu czatowni, zwiędłe szpilki. Poprawiono zamaskowanie, z cichym trzaskiem zamknął się nabity sztuciec, „Zeiss" zawisnął wygodnie do chwytu. Strzelec został odprawiony z poleceniem stawienia się w chwili, gdy nieprzyjażna dla strzału ciemność zapadnie. Nie lubiał hrabia towarzystwa na łowach, nieraz już sam otwierał rogacza i niósł go potem do domu. Dla niego nie kończyło się polowanie na strzale do pewnej zwierzyny. Nieraz za lepszych czasów sam rogacza wypatrzył a potem polował.

Powiódł Hassdorff wokoło okrągłem spojrzeniem. Jak podniósł się ten zrąb od czasu, gdy go ostatni raz wi-

Braliśmy gęsty jak konopie zapust grabowy. W połowie miotu wyszedł na mnie na kilka kroków warchlak; po strzale na kulawy sztych zakwiczał, przewrócił się i skończył na miejscu. Po miocie oględziny bardzo dokładne wykazały, że kula strzaskała mu prawą przednią nogę powyżej kolana, nie uszkadzając tułowia. Pomimo to warchlak padł i skończył na miejscu. — Jak już przedtem wspomniałem, zając tylko zaczepiony w tułów pada na miejscu; miałem liczne wypadki, że zając z oderwanym nosem lub dolną szczęką, padał i kończył na miejscu.

Ciekawie zachowuje się rogacz trafiony na komorę, czasem i wyżej stu kroków pójdzie; trafiony zaś miękko pada i kończy na miejscu. Dlatego zawsze moich gości proszę, żeby z Savagów strzelali rogacze miękko i sam zawsze tak strzelam.

Zwierz trafiony kulą Savage nie ginie zwykle od rany, ale od porażenia nerwów obwodowych, czyli od tak zwanego „shoku" nerwowego. Wiadomą jest rzeczą, że zające najpiękniej rulują od drobnego śrutu, także giną nie od rany, ale z tejże przyczyny, która zabija o wiele szybciej i pewniej, niż najstraszniejsza rana. Tem się tłumaczy, że zając trafiony z 450 i zupełnie wypatroszony, jeszcze z tak straszną raną kilka czy kilkanaście minut żyć może, nim zginie z upływu krwi i bezpośredniego nacisku powietrza na serce i płuca. Trafiony zaś malutką kulką Savage, rozciąga się na miejscu; piszę, że się rozciąga a nie ruluje, bo zając w skoku strzelony tak naciągnięty pada i bez żadnych drgań nieruchomy pozostaje; tak jest straszną potęga uderzenia tej malutkiej kuli.

Shokiem też tylko, wytłumaczyć można, że trafiony rogacz, na komorę jeszcze kawałek idzie a trafiony w brzuch, gdzie kula natrafia na duże ilości płynów, pada na miejscu.

Płyny, jak wiadomo są mało ściśliwe i pod uderzeniem kuli o wielkiej energji niszczą w dużym promieniu wszystkie naczynia krwionośne i limfatyczne, następuje też porażenie nerwów w tym wypadku w pierwszym rzędzie t. zn. nerwu błędnego, co natychmiastową śmierć powoduje.

Jeszcze jedna przy wyborze kul sztućca zachodzi kwestja; a to wytrzymałości broni. Co do systemu, to naturalnie podwójny, dobrze obrobiony sztuciec, bezkurkowy bije wszystkie inne systemy. Repetier nigdy nie będzie tak miły i składny. A co do zewnętrznego wyglądu, to przecież ładny podwójny sztuciec, to szczyt szczytów pięknej broni myśliwskiej.

Co do wytrzymałości, to najprędzej wystrzeliwują się Manlichery i kal. 5,2 mm. Miałem sztucery takie, że już po daniu 400 strzałów, nie trzymały kuli. Schönauery są znacznie trwalsze, choć zwykle po tysiącu strzałach już rzucają kulami. Prym trzymają stare poczciwe expresy, zwłaszcza o ile się używa kul w płaszczach miedzianych i o ile naturalnie dobrze się broń utrzymuje. Mam wrażenie, że z expresu może strzelać kilka pokoleń, że expres jest prawie nie zniszczalny. Miałem podwójny expres kal. 360 z którego strzeliłem jakie 6—7 tysięcy razy i który trzymał kulę tak dobrze, jak dostałem go z rąk p. Jankowskiego, znakomitego rusznikarza we Lwowie, który niestety już dziś broni nie wyrabia. Expres ten,

---

dział. Gnieździły się miejscami gęste zarośla malin i ożyn — z rozmysłu widocznie, na pokarm i schronienie dla zwierza chowane, — tu i ówdzie śmiała się soczystą zielenią wolna polana, a młoda, zaledwie od ziemi odrosła jedlina, na próżno starała się ją okryć nikłym swym cieniem.

Nie uszły długie chwile, a wysunęła się sarna, wiodąc dwoje koźląt za sobą. W wesołych podskokach cisnęły się małe do boku matki, starając się dobrać do pełnego wymienia. Postawiwszy łyżki, łowi ostrożna koza podejrzane szmery! — „Co tam szeleści na wysokości połowy drzewa? Nie poruszyło się coś tam przypadkiem w cichym wietrzyku, co po lesie goni?" — Uspokoiła się widocznie, a małe skorzystały z dogodnej sposobności i ssały z rozkoszą słodki pokarm. Nie trwało to długo. — Stara, ponad grzbiety koźląt badyl podniósłszy, długim krokiem odsunęła się od małych natrętów. Ogłupiałym wzrokiem zerkały biedactwa, snać zrozumieć nie mogły powodu odmowy smacznego nektaru. Potem za matką skoczyły. — Nic z tego nie widział hrabia, jego myśli odbiegły daleko.

Jak zmienił się las od czasu, gdy pierwszego zabił głuszca, gdzie wtedy był zrąb, dzisiaj gonne kultury, gdzie dawniej starodrzew, dzisiaj zrąb. Nie łatwo to było dla młodego wtedy jeszcze adepta łowieckiej sztuki, pierwszego zdobyć koguta. Dwa sfuszerował, dopiero za trzecim udało się razem. Pierwszy odleciał mu z przed nosa, drugi był gładko chybiony. A gdy wreszcie stanął przed strojnym w koral powieki i metaliczny wachlarz, zabitym kogutem, owionęła go myśl posępna! Owładnie i nim miłość gorącą mocą, czy i on zapłaci za krótką rozkosz szczęścia?

A potem ten pierwszy rogacz. Polował na łosie w Norwegji, na jelenie w Karpatach, a żadne tego wspomnienia przyćmić nie mogło. I wtedy czatował na wysokiej czatowni, strzelca zostawił w domu, a przecież nie był sam. — Dwoje oczu strzelało ku niemu z pod czarnych loków tęsknem spojrzeniem, w uścisku trzymał drogą dziewczynę, córkę leśniczego. Kochali się, jak raz w życiu tylko kochać można. I wtedy to wyszedł kapitalny szóstak, a gdy leżał już u stóp jego ten rycerz lasu i zgasłemi skarżył się świecami, oplotły mu szyję dziewczęce ręce, a gorący pocałunek był hojną nagrodą za celny strzał. — A jak potem walczył o tę dziewczynę, o to szczęście swoje! Dalej poszło jak zwykle w życiu! Nie zdołano odrazu zawalić gmachu jego szczęścia, co z takim pietyzmem wznosił, ale podziemna krecia robota dokonała swego. I on wkońcu broń zło-

wierny przyjaciel i świadek wielu tryumfów, przepadł mi podczas wojny. Bardzo wytrzymały z małych kal. jest dziś stanowczo przestarzały kal. P 27. Mam dwie takie sztuki, strzelałem z nich dużo jeszcze przed wojną. Z rabunku dworu ocalił mi je mój strzelec Feliks a bojąc się trzymać sztućce w domu, powiesił je w lesie na świerku, gdzie przez parę miesięcy wisiały. Przyjechawszy na urlop, zabrałem sztucery ze sobą na front a polując dużo w Rosji, masę z nich strzelałem do głuszców , cietrzewi i do ptactwa wodnego a o amunicję było bardzo łatwo, bo był to swego czasu kal. bardzo rozpowszechniony; ze sztućców tych zabiłem kilka dzików i kilkadziesiąt rogaczy, ale do tego celu stanowczo się nie nadają, odyńce także bardzo chodzą po tej kuli. Jest to znakomita broń na ptactwo, doskonale zabija a minimalnie uszkadza, może nawet mniej, niż kal. 5,2 mm, który jest ideałem do każdego pióra. Były dnie, w które na rozlewiskach Styru, Narwi czy Prypeci na przelotach wiosennych, do różnych ptaków 200—300 kul dziennie wystrzeliwałem. Sztucerki te, które mam do dzisiaj, jeszcze całkiem możliwie kulę trzymają.

Winchester $^{25}/_{35}$ i Savage 22 i pod względem trwałości zdaje się zwyciężać wszystkie inne sztucery. Mam kilka broni na te kalibry. A z moich dwóch podwójnych sztućców, jeden kal. $^{25}/_{35}$, drugi Savage 22, dałem z pierwszego około 3 tysiące strzałów, z drugiego około 4 tysięcy i są jak nowe; kule trzymają się tak, jak wyszły z rąk p. Dmytracha i ani odrobinę nie rozluźniły się w zamkach. A jak nabywałem te sztućce, to straszyli mnie różni znawcy, że po kilkuset strzałach, będzie można niemi w piecu węgle poprawiać.

Na zakończenie chciałbym jeszcze dodać kilka słów o samej technice strzelania w biegu.

Czy przez lunetę można zupełnie pewnie i swobodnie w biegu strzelać do zajęcy, nie wiem, bo lunety używam raz do roku na naszem premiowem strzelaniu we Lwowie. Do sierści, czy pióra, jeszcze nigdy w życiu przez lunetę nie strzelałem; ale niektórzy dobrzy strzelcy mówią, że można, zatem wierzę, choć na moje grzeszne oczy tego nigdy nie widziałem.

Strzelanie kulami po szynie, bardzo w Małopolsce rozpowszechnione, do zajęcy daje słabe rezultaty. Do dzików to nawet wolę strzelać po szynie niż przez celownik. Zyskuje na tem znakomicie szybkość strzału, a o ile strzela się przy psach, ma się lepszy przegląd terenu w chwili strzału. Do zajęcy jednak strzelam zawsze przez celownik z wycięciem pół okrągłem, które jest dla mnie najwygodniejsze i na pełną muszkę.

Strzelając na pełną muszkę, robi się przy szybkim strzale minimalny błąd co do wysokości, gdy przeciwnie, mając sztuciec ostrzelany na cienką muszkę, bardzo łatwo zgórować; o ile sztuciec przeznaczony jest do strzelania do celów stałych, można go ostrzelać na cienką muszkę, bo przy dalszych odległościach muszka mniej zakrywa cel.

Wprawdzie niektórzy nawet bardzo dobrzy strzelcy strzelają na cienką muszkę i zdaje się, iż do dzików mają dobre rezultaty, szczególnie na ściankach w dorzeczu Dniestru, gdzie zwykle jest bardzo dużo czasu do strzału. W trochę jednak trudniejszem terenie, gdzie z czasem trzeba się bardzo liczyć i do zajęcy, niewiem, jak taki myśliwyby sobie poradził.

żył, nie pierwszy i nie ostatni, co na ołtarzu rodowej dumy swoje szczęście składa. I nie znalazł już nigdy swobodnego szczęścia w młodości, pomimo szumnego życia i gorących wrażeń. Potem przyszła reakcja — choroba. Zabrała mu ona najlepsze, co pozostało: rozkosz łowiectwa i trawiącą myśliwego tęsknotę za szlachetną zdobyczą, zabrała aż do dzisiaj, gdy znowu odwiedził swój rewir.

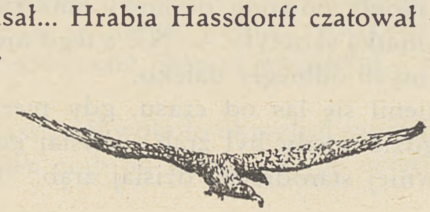
Wiatr wstrząsnął wierzchołkami drzew i wyrwał myśliwego z głębokiej zadumy. Czy długo stał już rudy rogacz na zrębie i wyzywał morderczy ołów? Przemarzone najlepsze dla strzału światło! Szybko chwycił za szkła, by dokładnie zrąb przeszukać. Kozę z młodemi znalazł odrazu, rozpoznanie tych sztuk nie było trudne, ale tam w tyle jeszcze jedna! Zmusił rękę, co „Zeissa" trzymała, do rozważnego spokoju. Teraz musi się udać, już zamajaczyła w szkłach sarna, nie wiadomo jeszcze, czy rogacz, czy koza. Ale oto teraz! Wyraźnie błysnęły, wysoko ponad łyżki, szeroko rozpięte o białych końcach parostki. Conajmniej dobry szóstak! Spokojnie żerując, stał szeroko rogacz i chciwie pił wieczorne podmuchy, co ukojenie mu niosły po całodziennej udręce od much i komarów.

Hrabia wziął sztuciec do ręki — przez długi czas ukryta opanowała go myśliwska namiętność, chwyciła go z mocą dech w piersiach dławiącą. Serce gorzało płomieniem, nerwy zadrgały uczuciem dzikiej burzy, — jak nagły orkan, co gładką toń morza na szczytne góry i przepastne głębie rozorze. Ostatnim zapasem energji ujarzmił zapalną myśliwską gorączkę — w momencie tym buchnął strzał, a echo jego wieść górom poniosło, że znowu latorośl tych lasów i łąk, pogromcy człowiekowi w ofierze złożoną została.

Rogacz zaznaczył, odsadził się susem i runął bez życia. Na czatowni zaległa cisza... Żadna para oczu nie śledziła wyniku strzału, żaden krok nie poruszył chwiejną drabiną...

— — — — — — — — — — — — — —

A gdy ostatnie przetlało światło i w ciemnej nocy skonało, przyszedł strzelec, przyszedł po pana, daremnie go wołał, daremnie potem ostrożnie, potem silnie nim wstrząsał... Hrabia Hassdorff czatował — — — — ostatni raz.

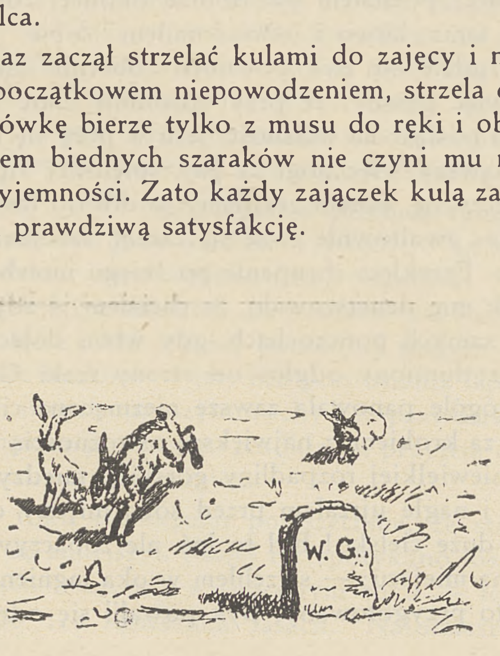


O używaniu przyspiesznika nawet nie mówię, bo to na nagonkowych polowaniach, tak ze względu bezpieczeństwa jak i ambarasu dla samego strzelającego, zgóry wykluczam. Przyspiesznik oddaje dobre usługi przy lunecie i na podchodnem przy strzałach do celów stałych; co do mnie, to przyspiesznika nigdy nie używam, uważam go nawet za szkodliwy.

Za szkodliwy uważam przyspiesznik z dwóch powodów: po 1-sze mam za małe oparcie dla palca przy strzale, co fatalnie wpływa na dokładność strzału, po 2-gie bardzo opóźnia strzał; wreszcie bardzo łatwo można spłoszyć zwierza nastawianiem przyspiesznika, sam miałem kilka takich wypadków, trzeba się też liczyć z samopałem. Jeden z moich dobrych znajomych, znakomity myśliwy i strzelec Albert Mniszek, spłoszył sobie, przez użycie przyspiesznika, rekordowego jelenia w Skolem.

Bardzo dużo myśliwych początkujących w strzelaniu do zajęcy kulami robi ten zasadniczy błąd, że ogromnie się spieszy ze strzałem i naturalnie ma fatalne rezultaty i bardzo prędko zniechęca się do kuli. Strzelając kulą do zająca z odpowiedniego sztućca, mam o wiele więcej czasu, niż strzelając śrutem, gdyż po 1-sze muszę w o wiele mniejszym stopniu liczyć się z odległością; 10 lub 15 kroków dalej przy strzale śrutem jest decydujące, dla kuli zupełnie obojętne, strzelam tam gdzie mi jest najwygodniej i czy jest 20 kroków dalej czy bliżej, to mi jest zupełnie wszystko jedno, po 2-gie w gąszczach, gdzie widzi się tylko cienie przemykających zajęcy i mając śrutówkę w ręce, trzeba się obejść smakiem lub jakieś beznadziejne buczki wyszukiwać, co zawsze się kończy tylko pokaleczeniem zwierza. Kulą strzelam zupełnie swobodnie, nie troszcząc się o gąszcz, który dla kuli wystrzelonej z nowoczesnego sztućca nie przedstawia przeszkody. Uważać trzeba zawsze i nigdy nie można być za ostrożnym, mając palną broń w ręku, czy to jest sztuciec niosący na 4 km, czy śrutówka niosąca na 100 m; przy nieuwadze, obie bronie są równie groźne dla otoczenia nierozważnego strzelca.

Kto raz zaczął strzelać kulami do zajęcy i nie zrażając się początkowem niepowodzeniem, strzela dalej, ten już śrutówkę bierze tylko z musu do ręki i obsypywanie śrutem biednych szaraków nie czyni mu najmniejszej przyjemności. Zato każdy zajączek kulą zabity daje wielką i prawdziwą satysfakcję.



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Las w Storaasen. Sprytny łoś. Uśmiech szczęścia. Podchód pełen wrażeń. Wilki.

Ponieważ wiatr nie ustawał, a nawet chwilami się wzmagał, nie uważaliśmy za korzystne wychodzić z za krzaków, przynajmniej przez pewną chwilę. Lorents jednak chciał koniecznie, bym zajął stanowisko tam, gdzie pierwszy raz zobaczyłem byka, a jemu pozwolił wejść od tyłu tu w krzaki i pędzić go na mnie.

Nie bardzo uśmiechała mi się ta propozycja, gdyż skąd znowu ręczyć można było, że napędzany byk wyjdzie właśnie na mnie!? To się tylko wtedy udać mogło, gdybyśmy byli w większem towarzystwie, t. j. gdyby więcej strzelb było. Przytem ten rodzaj polowania można najlepiej zastosować do miejscowych myśliwych, znających dobrze teren; jednak i to w takim tylko razie, gdy na kilku myśliwych napędza się zwierza.

Zdecydowałem więc zaatakować byka od zachodu i udało mi się szczęśliwie dotrzeć do kępki drzew, gdzie się łoś znajdował, jednakże nie mogłem go dopatrzeć w tym gąszczu. Z największą więc ostrożnością podkradałem się dalej i już byłem pewny pomyślnego wyniku, gdy wtem doleciał mych uszu odgłos łamiących się gałęzi pod ciężarem jakiegoś potężnego cielska! — Rzuciłem się co tchu naprzód z sztucerem gotowym do strzału — lecz już tylko mignęły się oczom moim dwa łosie!

Przyznać muszę ze wstydem, że wypuściłem wtedy za niemi — bez żadnego celowania — dwie kule, jedną za drugą, — ale naturalnie daremnie! Żałowałem teraz bardzo, że nie posłuchałem Lorentsa, — z pewnością lepszy byłby wynik!

Tak wielką ilość tropów łosi znajdowaliśmy tu wszędzie, że „Flink" rzucał się wciąż i szarpał na smyczy, to w tę, to w ową stronę, aż wkońcu widząc, że się to na nic nie zda, bo się zupełnie zbałamucił, daliśmy temu za wygraną.

Po tej niefortunnej próbie udałem się na południe jeziora, w dzikie, nieuczęszczane lasy, gdzie, mówiono mi, że pełno jest łosi; lecz, pomimo ciężkiej i mozolnej wędrówki, nie spotkałem ani jednego w odległości dla strzału!

Zaczęło mię to już wkońcu nudzić; — dla urozmaicenia więc monotonności, zabiłem małego byka, który mi się niespodziewanie nawinął, niedaleko już od Gauptjern; zrobiłem to głównie dla uciechy „Bjonn'a"! Po kilku dniach miałem znowu błysk, uśmiech szczęścia — niestety, nie na długo.

Wałęsaliśmy się tak po rozmaitych pagórkach w bliskości naszej leśniczówki, — a obydwa psy nasze nic coś zwietrzyć nie mogły, — gdy wtem, zupełnie nieoczekiwanie, o jakie 10 yardów od nas, ujrzeliśmy jak

olbrzymi łeb łosia z dużemi szerokiemi łopatami wysuwał się z gęstych gałęzi, kryjąc się między drzewami.

Doskonale zrozumiałem odrazu, że strzał wypuszczony w taki gąszcz na nic się nie przyda; — czekać jednak jeszcze było niekorzystniej. Nie tracąc więc chwili czasu, strzeliłem dwa razy, mierząc, o ile można było, w kark zwierza. Byk rzucił się gwałtownie i znikł!

Nim się puściłem za nim w pogoń, poczekałem chwilę, aby byk — raniony może — osłabł trochę; psy jednak inaczej się widocznie na to zapatrywały, bo ze wszystkich swych sił, z całą niepohamowaną namiętnością, pociągnęły z sobą Lorentsa, tak, że i ja musiałem już pośpieszyć za nimi.

Znajdywaliśmy wszędzie wiele farby na tropach — doszliśmy nawet do przekonania, że w niektórych miejscach łoś się zatrzymywał po trochę — co mię wielką otuchą i nadzieją napełniło! Poznaliśmy z tropów, że i łosza z nim była.

Posuwały się one na wschód jeziora, a okrążając je, dopadły do lasu na wysokim szczycie Sejsjoberget.

Przez chwilę sądziłem, że się tu może zatrzymały — niestety jednak, wkrótce przekonaliśmy się, że tropy pomknęły dalej na zachód, a co najsmutniejsze, że coraz się mniej znajdowało na nich farby; wkońcu nic już jej nie było. Dziwiło nas też bardzo to zjawisko, że tropy zdawały się być coraz wyraźniejsze, chyższe! Czas jakiś postępowaliśmy za niemi; wkońcu doszedłszy do zachodniej naszej granicy, zaniechaliśmy dalszego pościgu.

Ponieważ nadchodził już koniec sezonu myśliwskiego, postanowiłem jak najprędzej zdobyć sobie choć jednego jeszcze łosia, choć wszędzie już śnieg ziemię okrywał, a wiatr dął niemiłosiernie, prawie codzień!

Ostatniego więc dnia, Lorents i ja, nie zważając na brzydką pogodę, wybraliśmy się raz jeszcze na łowy, mając niezłomne postanowienie chlubnie je zakończyć.

Las majestatycznie wyglądał po całonocnej silnej śnieżycy — gałęzie drzew gięły się pod ciężarem śniegu, przybierając najrozmaitsze dziwne kształty wielkoludów lub gnomów leśnych z nieprawdopodobnemi ramionami i o olbrzymich szpiczastych głowach. Spotkaliśmy się właśnie tego dnia z człowiekiem jadącym saneczkami jednym koniem po mięso mego łosia, a ponieważ nie znał on dobrze miejsca, gdzie łoś był zabity, kazałem Andreasowi pojechać z nim, ale górą poleciłem im podążać, aby nam w łowach nie przeszkadzali.

Chcąc jak najbliżej podejść byka, udaliśmy się na wschód, w okolicę Gauptjern, bo ta okolica posiadała najodpowiedniejszy do tego teren. Mieliśmy z sobą tylko młodego psa Bjon'a, doskonale już teraz wytresowanego, tak, że się już wybornie mógł obejść bez pomocy swego ojca.

Na samym szczycie Gauptjern znaleźliśmy tropy dużego zwierza — zupełnie świeże, z tego rana — a wkrótce natknęliśmy się na świeże „brunsta" (utarzane miejsce); nie wątpiliśmy więc, że się gdzieś tu niedaleko kryje łoś — a przytem nie mały być musi!

Na nieszczęście tropy bałamuciły nas bardzo, bo się rozchodziły w różne strony, a przytem trzeba było uważać, aby nie iść z wiatrem; baliśmy się też, aby byk nas nie obszedł, więc często schodziliśmy w dół, aby powrócić znowu za tropami do góry; — i tak doszliśmy do dużego błotniska opodal Gauptjern.

Gdy byliśmy przedtem na szczycie, rozglądając się na okolicę, dostrzegłem zdala Andreasa i człowieka z saneczkami. Co za los nasz fatalny! Wypłoszyli właśnie całe stado swojskich reniferów, które z pewnością miały zamiar iść wyżej jeszcze w góry, a teraz zawróciły w dół!

Tropy szły wzdłuż brzegów wielkich błotnisk i sięgały aż na północ, uchodząc do lasu. Poznałem po nich, że byk szedł pomału, spokojnie. Coraz były wyraźniejsze — widocznie zbliżaliśmy się do niego.

Przechodziliśmy najrozmaitsze kępki drzew — naprzód i w tył — poprzez liczne moczary, kręte ścieżyny, tak że nie sposób nam było śledzić uważnie kierunek wiatru. Pies zachowaniem swem dawał nam do poznania, że dochodzimy do celu naszych poszukiwań. Obawiałem się tylko, że chrzęst moich „komagar" po śniegu ostrzeże łosia o niebezpieczeństwie, więc nie wiele myśląc, pozostałem na miejscu, aby się tu go doczekać.

Czas jakiś tak staliśmy — śnieg ciągle padał — a łosia jak nie było, tak nie było! Ruszyliśmy więc znowu w stronę dużego błotniska i wkońcu Lorentz, po drugiej stronie zobaczył byka, na około 300 yardów od nas, za daleko więc, aby strzelać, szczególnie, gdy śnieg padał. Zdawał się być bardzo dużym o potężnych łopatach. W krótce jednak znikł nam z oczu, bo wszedł do lasu.

Ten sposób łowów stawał się nudnym, monotonnym — a w dodatku jak się przekonaliśmy — bez żadnego rezultatu! Zdecydowałem więc zawrócić i z przeciwnej strony podchodzić byka — niestety jednak, za późno to uskuteczniłem, gdyż byk już przeszedł; widocznie wracał do miejsca, skąd wczesnym rankiem wyszedł.

Ponieważ poznałem już dobrze okolicę, zorjentowałem się teraz łatwo i uświadomiłem sobie wyraźnie miejsce, gdzie się byk powinien obecnie znajdować, byłem więc pewny, że przy odrobinie choć szczęścia, mogę go posiąść na własność, jeśli w porę się tam znajdę. Wziąwszy więc nogi za pas, spięliśmy się co tchu na płaszczyznę, potem zeszliśmy w dół do lasu.

Tu pies gwałtownie rwać się zaczął, szedłem więc na przodzie. Przeklęte chrupanie po śniegu moich „moccasins" tak mię denerwowało, że chciałem je zdjąć z nóg i iść w samych pończochach, gdy wtem doleciał mych uszu przytłumiony odgłos od strony rzeki Gauptjern, gdzie wogóle panowała zawsze niezmącona cisza.

Krok za krokiem, z największą ostrożnością zsunąłem się do niewielkiej rozpadliny górskiej, między dwiema skałami i nagle ujrzałem przed sobą między drzewami ciemne, duże cielsko! Był to łoś, ale zobaczywszy mię, skręcił na miejscu; — strzeliłem w oka mgnieniu, będąc już na to przygotowany. Byk powalił się odrazu; jed-

nak, co nas bardzo zdziwiło, po drugim strzale (który wypuściłem wkrótce po pierwszym) łoś jakby odżył na nowo — zerwał się nawet na nogi, lecz trzeci strzał wymierzony mu w kark, zabił go momentalnie.

Z przykrością przyznać muszę, że się bardzo rozczarowałem co do wielkości łopat jego, które mi się na żywym wydawały daleko większe; nie żałowałem jednak chwil spędzonych na tych łowach, bo pełne były wrażeń a zarazem bardzo pouczające — tak, że uważałem, że zupełnie pomyślnie i mile je zakończyliśmy.

Jednakże nazajutrz jeszcze raz — już ostatni, — Lorents, Andreas i ja wyruszyliśmy do małej leśniczówki w lesie Storaasen. Flinka z nami nie było, bo go inni myśliwi zabrali w najlepsze jakieś strony. — Lorents więc wziął syna jego, szpetnego psa, ale podobno wielkich zalet! Prócz „Bjon'a“, który doszedł już do szczytu swej myśliwskiej doskonałości, wziąłem jeszcze psa mego przyjaciela, który mię prosił, aby go wypróbować.

Sezon ten odznaczał się wyjątkowo niefortunną pogodą dla łowów. Szalone wichry ze śniegiem milkły raptownie zupełnie — nastawały ciche, nawet gorące prawie dnie, bez najlżejszego podmuchu wiatru, tak, że nawet w bliskości łosi, psy ich nie mogły zwietrzyć. — W takie dnie można było beznadziejnie przejść wiele a wiele mil bez żadnego strzału!

Niedaleko tej leśniczówki udało mi się zabić ładnego bardzo łosia o 14 pasemkach; cieszyłem się przytem, że spełniłem życzenie mego przyjaciela i psa wypróbowałem.

Ponieważ praktyka lat ostatnich nauczyła mię nie dowierzać zbytnio memu staremu 303 „Savage“ repetierowi, zwłaszcza gdy strzelać trzeba przez krzaki, co się nieraz przytrafia w łowach na łosie, — wziąłem z sobą w tym sezonie także podwójny sztucer do naboi z ołowianemi kulami w niklowych łuskach, strzelający z wielką dokładnością, ale co do siły strzału nieraz się na nim zawiodłem, polując potem często z psami w południowej Norwegji, tak, że w końcu doszedłem do przekonania, że lepiej już ryzykować, że się może kiedy zdruzgoczą kule o krzak, gdy taki strzał będzie konieczny, ale za to pewnym być siły strzału i dokładności jego w teraźniejszych sztucerach o małym kalibrze.

Został już nawet rozstrzygnięty problem tyczący się rozbijania się kuli przy wielkiej szybkości, — a to przez nowo powstałą amerykańską firmę nabojów. Jakiby zresztą nie był typ amunicji, to pewnem jest już, że dla łowów na łosie lekki zręczny podwójny sztucer — jeśli możliwe bez kurków — jest bez porównania lepszy od wszystkich innych magazynowych; lecz prawdziwie dobry taki sztucer jest bardzo rzadkim, a przytem ogromnie kosztownym przedmiotem.

W tym roku zauważono powszechnie, że stan łosi w Snaasa się zmniejszył. Mniej też spotykano łosi w lesie Storaasen teraz, niż w przeszłym roku — to samo opowiadano i o sąsiednich lasach. Natomiast wilki w wielkiej ilości zaczęły się pokazywać i często zdarzało mi się spotkać szczątki łosia lub renifera, rozszarpanego przez te drapieżniki.

Czasem żebracy zachodzący do leśniczówki w „Stroket“ opowiadali mi w zimie, że wilki wędrujące po moczarach w bliskości tej leśniczówki ubiły sobie po nich suchą, twardą ścieżkę, a raz w nocy miały nawet odwagę podejść do samego mieszkania i wykraść całą sztukę mięsa, wiszącą na ścianie zewnętrznej.

Odbyłem później w zimie długą wycieczkę na „ski“ w tych okolicach razem z Lorentsem, a razu jednego wyruszywszy o świcie z fermy Gaundalen, niedaleko szwedzkiej granicy, napotkaliśmy tropy ogromnego stada wilków. Tropy te ciągnęły się aż na same szczyty gór Skjaekerhatten, a potem w dół do jeziora Jaevsjoen w Szwecji; były zupełnie świeże, a jednak nie udało się nam spotkać ani jednej sztuki.

Zrozumieliśmy jednak teraz, dlaczego tak ciężkie nastały czasy dla biednych łosi!

Wkońcu, gdy coraz mniej łosi spotykano, rząd ogłosił dekret chroniący je na przeciąg trzech lat.

Wkrótce potem otrzymałem wiadomość przez posłańca o śmierci mego drogiego przyjaciela i towarzysza łowów, Lorentsa Moum. Będąc na wycieczce daleko w górskich lasach, raptownie zasłabł, a nie sposób go było natychmiast przewieźć do domu.



ADAM RZEWUSKI

Historyczne łowy

I.

Najzupełniej na to miano zasługuje wspaniała uczta myśliwska wyśniona przez szczęśliwych jej uczestni- ków, w znamiennych dniach 16 i 17 stycznia r. b. w Da- widgródeckiej Ordynacji księstwa Karolostwa Radzi- wiłłów.

Powiadam „wyśniona" — gdyż, pierwszy to raz po odzyskaniu niepodległości, wspaniałe tereny potomków wielkiego rodu miały szczęście gościć Dostojną Osobę Pana Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Zaiste, gdy się pomyśli tylko, ile to „krzyżowych" lat upłynęło — ile łez i krwi ludzkiej — zanim, jako ju- trzenka radosna, zawitała nareszcie chwila podobna, kiedy to Włodarz i pierwszy Obywatel Polski zje- chał do tych rozmarzonych, drogich ostępów Polesia starego.

Cofając się wstecz, ku narodowej naszej martyrolo- gji, żywo wywołujemy szereg wizyj dręczących z lat przebolałych.

Nie w jednym skromnym dworku tej świętej ziemi poleskiej — gorzał znicz miłości Ojczyzny bez gra- nic!... Nie pod jedną strzechą magnackiej rezydencji też, lub zadymionej kurnej chatynki szlachty zaściankowej. Aliści, zawsze i wszędzie westalką tego kultu — tej ado- racji bezgranicznej — ustawicznej gotowości do walki „envers et contre tous" — była matka polska — była kobieta polska!...

To też żadne pogardliwo dumne hasła przeróżnych despotów-carów — skrystalizowane w sławetnym ich zwrocie „poînt de rêveriers" (precz z mrzonkami) — nie zdołały nigdy „zmrozić" chęci do odwetu, pomsty za krzywdy i do walki czynnej, jednakiej zawsze goto- wości!

Bo na kolanach świętych matczynych wykuwał się hart ducha patrjotycznego — owo, że tak powiem „po- żądanie" ofiar nadludzkich dla ojczyzny, która choć zdala zawsze „białą świeci twarzą" w opresji wszelkiej. Jakoteż tam w tundrach sybirskich, na katordze nor- czyńskiej, w tiurmach etapowych dzikiej Moskowji!...

Stosy kajdanów i poniewierka ciemiężców i samot- ności udręki — nic to! Bo matka przed Najświętszą Pa- nienką tak niegdyś w dzieciństwie uczyła: „Pastwienie się „a la Apuchtin" w „uczelniach gubernjalnych" — nic to!.. „Podrośniesz synku — pomścisz".

Znamienne słowa jednej z tych wielkich matek!... — Nareszcie — słowo naszych wieszczów stało się ciałem! Wybiła godzina sprawiedliwości dziejowej.

Wraz z Polską ze zgliszczy i popiołów pożogi bolsze- wickiej powstała rezydencja Mańkiewiczowska, która gościła Głowę Państwa. Co za chwila historycznie do- niosła!.. Orzeł radziwiłłowski powiewa jak dawniej nad siedzibą książęcą, podczas gdy nad nim, jak też nad krajem całym, dumnie szybuje śnieżno-biały orzeł naro- dowy.

Dożyliśmy więc szczęścia, o którem marzyli „najlep- si" z pokoleń całych, o które modlili się u stóp Często- chowy i Ostrej Bramy!..

II.

Jeszcze głębiej odczuwając ekran tych „wizyj" zamar- łych, widzimy cały przepych glory „senatorskich" tych, szczerych jak złoto orędowników kultu św. Huberta.

Sylwetki szeregu Radziwiłłów i spokrewnionych z ni- mi rodów, wskrzeszają się w naszej wyobraźni.

Puszcze pierwotne, rojsty, mszarniki, topieliska o je- ziorkach rdzawych, w których to, po nocach zda się „djabły i czarownice trupy grzeszników warzą" — drzew olbrzymów niebotyczny splot, w których hejnał prze- brzmiały nie jednego Wojskiego, podawały sobie „dę- by dębom — bukom buki"!...

Zmagania się rycerskiego animuszu pełne naszych antenatów z turem, żubrem — monarchą ostępów — niedźwiedziem!.. — Forsowanie przez nich konno, kłu- cie oszczepem pierwszych, branie na rohatynę ostatnich! Z łuku celne strzały do czapel i ptactwa wszelkiego — z rarogiem na nie wyjazdy. Stanowiło to zaiste „pańską zabawę", której nadziwić się nie mogli goście nasi zagraniczni, ba! — królowie, potentaci nawet nieraz...

Lata mijały, świat się „cywilizował" — groźne masy- wy leśne były jeszcze prawie że jednakie — ale, metody zdobyczy nieco już odmienne.

Z flint staroświeckich od „pieńków" ołowiu czy też „grankulek", padał zwierz puszczański. Oblicze księcia Radziwiłła Karola, Panie Kochanku, Wojewody wileń- skiego — jednego może z ostatnich „mohikanów", zda- wałoby się myśliwcom starego autoramentu — gwiazdą przewodnią świeciło niezawodnie na schyłku ostatnich bolesnych, lat przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Pod względem łowieckim, rubaszności, prostoty w obcowaniu z bracią szlachtą, dobrotliwością dla pod- danych, wiernością tradycjom ojców, nie darmo stworzył natchnienie dla stryja mego ś. p. Henryka Rze- wuskiego, Ignacego Chodźki, Kraszewskiego i tylu innych...

Natenczas to w głębokich łaszczach „siedzieli" po „Łachwach, Nalibokach" przeróżnych, Imć panowie podłowczowie, ze zwierzyny nie zdając nigdy ścisłego rachunku — a li tylko „raźno i ochoczo" stając przed oblicze Księcia Pana i jego Gości na pierwsze jego we- zwanie. Na tego, czy innego zwierza, wiedli do ostępu pewnego, według ich animuszu i fantazji. W owe czasy, nietylko po zapadłych dworkach, czy wioskach pusz- czańskich z myślistwem nocowano — ale, nieraz pod szałasami wśród mgieł jesiennych i śnieżyc zimowych!.. Od chłodów aury podobnej salwowały jedynie garnki, gęsto przez pachołków roznoszonego krupniku, rzetel- nie imbierem i cynamonem zaprawionego „kordjata".

Coprawda, że następowały potem wrzaski srogie, nie- raz śpiewy i inne przy tem krotochwile. Ale i głośne chrapanie i sen kamienny aż do sygnału myśliwskiego, przez któregoś z antenatów Żyłki, czy innego sługi ra-

dziwiłłowskiego oddanego! Panowała zawsze przytem owa „kordjalność" naszych przodków, braterskie „kochajmy się" — nie w słowach, lecz w czynach!

Każdy z kompanów każdemu, niemal że niebiosa radby przychylić, — ptasiego mleka dostarczyć. — Na tych festynach łowieckich albowiem, rozkoszne tak rozkwitały cnoty pokoleń dawnych. — Bo knieja i łowy, to synonim wyrozumienia rozkwitu i miłości ku wszechstworzu, ludziom — powiem więcej — zwierzynie nawet!... Wydaje się to paradoksalnem — ale, tak jest w rzeczywistości.

Po tej słonecznej wizji o koszmarowym okresie spadłego na kraj nasz bolszewizmu, lepiej nie wspominać.

III.

Jak tak ładnie mówi Remigjusz hr. Grochowski w swem sprawozdaniu z tych historycznych łowów w „Tygodniku Ilustrowanym" — „długo jeszcze w kurnych chałupach będą mówili o polowaniu w książęcych lasach i choć huk strzałów ucichł już w ostępach — w pamięci myśliwych i starych Poleszuków wiecznem pozostanie wspomnienie!"

Jakże wzruszającemi były owe dary ziemi polskiej przez stuletnich starców u stóp Najwyższego Włodarza Ojczyzny naszej złożone!.. Miód, orzechy i „mietka"

A dla współczesnej braci myśliwskiej, jakże pokrzepiającem jest przekonanie, że prastare tradycje łowieckie — spuścizna Jagiellonów, Zygmuntów, Batorych, potęga psychiki starożytnego myślistwa, bezgraniczne nieraz umiłowanie tego kunsztu szlachetnego, zawsze żyją wśród nas.

My szczególnie, dzisiejsi adepci tego sportu, którzy doskonale zdajemy sobie sprawę — ileż to, w obecnych warunkach znojów i trudów i zamiłowania należy włożyć właścicielowi łowisk, dla osiągnięcia podobnych u siebie wyników.

Istotnie nie sztuka przy odpowiednich środkach i fachowym personelu „wyprodukować" kilkaset lub nawet kilka tysięcy bażantów, czy zajęcy, tembardziej, że zazwyczaj cała ta impreza odbywa się na ograniczonych, kulturalnych terenach.

Ale komu są wiadome warunki kresowe, ogrom obszarów nie podlegających prawie możliwości prymitywnej nawet kontroli, charakter kłusowniczy miejscowej ludności z dziada, pradziada, nie uznającej żadnej reglementacji, komunikacyjne trudności warunków lokalnych — ten niezawodnie zrozumie cały zasób syzyfowej pracy włożonej przez mego kochanego kuzyna, ks. Karola Radziwiłła w swoje tak drogie dawidgrodeckie rewiry!...

Doprowadzić stan łosi z trzech powojennych niedobitków, pozostałych po hordach grasujących w czasach, tak zwanej „swobody" — kilku ocalałych dzików, do możliwości rozkładów sezonu bieżącego, głuszców do paruset śpiewaków, nie mówiąc o zatrzęsieniu cietrzewi, jarząbków, sadach kaczych jedynych na Polskę! — O! na to trzeba być hodowcą - mistrzem — Fidjaszem twórczości

...Oprócz tego, żeby z takim pietyzmem zachować ten swoisty, tradycyjny charakter tych łowów — otoczenia w postaciach staroświeckich łowczych, owych Oreszków, Żytków, i „tutti quanti" gajasów, sobakarów, naganiaczy pod kierownictwem świattych, sprężystych nadleśnych pp. Daszkiewicza i Pokornego — na to trzeba urodzić się myśliwym z myśliwskiego rodu, być poetą kunsztu św. Huberta!... Nie byłem na tem historycznem polowaniu, nie jest to żaden odruch wdzięczności reklamowej z mej strony, ale zaiste — w moim wieku zaliczając siebie do „pasjonowanych" hodowców zwierza i ptactwa ongiś — w moich ukraińskich majętnościach przez bolszewików zagrabionych — nie łatwo mi jest zaimponować w materjach hodowlanych szczególnie!..

Otóż przyznam się szczerze — nigdy prawie w życiu nie byłem tak głęboko wzruszony, jak po przeczytaniu artykułów hr. Grocholskiego i p. Darz-Bora.

Jak to już pisałem niegdyś w „Dzienniku Poznańskim" i naszym kochanym „Łowcu", żyją jeszcze ojców naszych tradycje swoiste. I coby tam nie mówiono o łatwości rozmnoży dziczej — ale, przecież przedwojenne warunki nie były gorsze na tym samym terenie a jednak? Rekordowy sześciodzienny rozkład stanowił 50, a dziś? jeden miot dał 80 okazów! Bajeczne!.. A zresztą? głuszce, łosie, zdaje mi się dziesiątkami się nie rodzą, a przecież ileż ich się rozmnożyło na łowiskach ordynackich!.. Co tu długo mówić!?

Chyba stać się echem słów, które niezawodnie wykrzyknąłby Książę Karol, Wojewoda Wileński!..

„Czołem panie Kochanku! przed tak zacnym moim następcą ordynatem! Myśliwiec to — nie dla proporcji!"

Za moich czasów ileżby to my razem niedźwiedzi w Łachowie i Nalibokach zdobyli! Ale dzików, to chyba mniej!.. Aplauz nas wszystkich mu się od nas należy, Panie Kochanku!"

A pan na Nieświeżu, Ołyce, Białej, Mirze, znał się chyba na myślistwie.

IV.

Za owe wizje przeszłości, za wskrzeszenie rozkoszy łowieckich przezacnych antenatów naszych, za historyczne dnie 16 i 17 Januari Anno Domini 1931 — dzięki ci się należą Książę Panie od braci z pod zielonych sztandarów, gdyż wybitne rezultaty i ludzie — winni być cenionymi!..

A stary twój kuzyn modły zanosi do Św. Huberta wraz z okrzykiem: „Ostępy Lesocicki, Czeremiszcze, Woshoseloje i na nich pracujący funkcjonarjusze, „vivant, vivant, floreant... ad aeternam" — jakoteż ordynacja z nad Prypeci i Horynia, z jej Władcą i całą Jego Rodziną!!!

* * *

W ostatniej chwili dowiaduję się o nie mniej wspaniałym rezultacie polowania w prastarej radziwiłłowskiej rezydencji w Nieświeżu Księcia Albrechta Radziwiłła.

Padło 40 sztuk dzików, ale przeważnie odyńców.

Brawo! Brawissimo!

Czołem „panie kochanku", wykrzyknąłby niezawodnie Wojewoda Wileński!..



A. GROETSCHEL

Kto zdradził...?

W księżycową, lecz bardzo chmurną noc sierpniową staliśmy w trójkę o jakie 200 kroków, jeden od drugiego, tuż pod granicą bardzo rozległych lasów państwowych.

Oficjalnie była to zasiadka na dziki — de facto nie chodziło nam tak bardzo o strzał — gdyż na dzika mogliśmy zapolować za dnia z nagonką, lub dobremi psami.

Wszyscy trzej byliśmy wówczas jeszcze stosunkowo młodzi, lubiliśmy las i zwierza — więc zasiadaliśmy — o ile czas na to pozwolił, o różnych porach dnia i nocy, w różnych miejscach w lesie — wszak na zasiadce zawsze coś można zobaczyć, czegoś się nauczyć, wkońcu przekonać się, co się dzieje w lesie.

Przed nami ciągnęły się wąską smugą rzadko zadrzewione gminne lasy dębowo-olchowe, przedzielone od pól chłopskich głęboką, zarośniętą krzewami debrą. — Miejsce było dobre; tamtędy niemal co nocy przesuwały się dziki na pola chłopskie — gdzie jeszcze znaleźć można było resztki niezabronowanego owsa i nienaruszone grzędy ziemniaków.

Cisza była zupełna, żaden wietrzyk nie szeleścił wśród gałęzi drzew, pod którémi staliśmy.

Kwadranse płynęły za kwadransami — lecz do uszu naszych nie doleciał ani jeden podejrzany szmer.

Już przeszło dwie godziny cierpliwego oczekiwania zapadły w bezpowrotną przeszłość — gdy nagle ostry łoskot strzału karabinowego rozdarł ciszę nocną.

Strzał padł na polach chłopskich tuż za wspomnianą debrą o jakie 250 m przed nami.

Po strzale słychać było czas jakiś niewyraźne szmery, potem rozległo się w oddali głośne wołanie: „Wasylu, Wasylu — a szczo je". — Na to z miejsca strzału usłyszeliśmy taką odpowiedź: „Naj to szlag trafyt — widać piszou. — Chodit' Iwane — poszukajemo".

Poczem znów uszu naszych doszły jakieś niewyraźne szelesty i niezrozumiała rozmowa szukających przypuszczalnego postrzałka. W kniei zapadła ponownie zupełna cisza.

Z przyczyny, iż strzał padł na obcym terenie łowieckim, nadto z powodu dość ciemnej nocy i trudnego terenu (stromej i zarośniętej debry, nie podobna było przekroczyć bez większego szelestu), nie chcąc narażać ni siebie — ani też mych towarzyszy na ewentualną kulkę karabinową — postanowiłem oczekiwać kłusowników po tej stronie debry w nadziei, że w poszukiwaniu za dzikiem, przejdą jar na naszą stronę.

Niestety, przypuszczenia moje nie sprawdziły się, kłusownicy bowiem po daremnych poszukiwaniach z tamtej strony jaru, nie odważyli się na podsunięcie się pod granicę lasu państwowego.

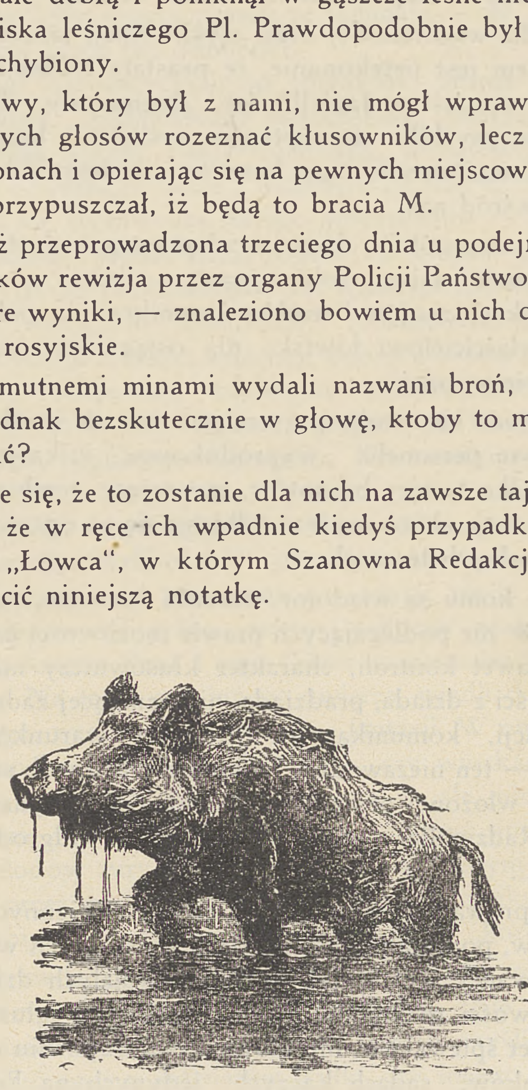
Strzelany przez nich dzik (gruba sztuka) przeszedł po strzale debrą i pomknął w gąszcze leśne nieopodal stanowiska leśniczego Pl. Prawdopodobnie był on zupełnie chybiony.

Gajowy, który był z nami, nie mógł wprawdzie ze słyszanych głosów rozeznać kłusowników, lecz sądząc po imionach i opierając się na pewnych miejscowych danych, przypuszczał, iż będą to bracia M.

Jakoż przeprowadzona trzeciego dnia u podejrzanych osobników rewizja przez organy Policji Państwowej dała dobre wyniki, — znaleziono bowiem u nich dwa karabiny rosyjskie.

Ze smutnemi minami wydali nazwani broń, zachodzili jednak bezskutecznie w głowę, ktoby to mógł ich zdradzić?

Zdaje się, że to zostanie dla nich na zawsze tajemnicą, chyba, że w ręce ich wpadnie kiedyś przypadkiem ten numer „Łowca", w którym Szanowna Redakcja raczy pomieścić niniejszą notatkę.



A. S. Ch.

Mozaika Dzicza

Chociaż zdarzenia, które opiszę, przetrafiły się przed kilkunastu laty, jednak są niezwykłe, więc warto je przypomnieć. — W Kasinie wielkiej, blisko Rabki, mieszkałem 17 lat i polowałem stale w tych górach, a przeszło pół kopy dzików padło tam z mojej ręki, to też nieraz bardzo komicznych epizodów byłem świadkiem. Polowania te odbywałem, najczęściej sam jeden tylko, w towarzystwie dwóch leśnych, uzbrojonych w laski „ciupagi góralskie", bez broni palnej, z sześcioma jamnikami rasy polskiej, górskiej. Są to pieski większe, niż jamniki stryryjskie, lecz z prostemi nogami, o dłuższym włosie ostrym, czarno podpalane, pieski bardzo dobre do polowania w górach, gdyż bardzo wytrwałe i odważnie dzika atakujące.

W okolicy od kilku lat włóczył się duży odyniec, którego górale nazywali „zaczarowanym", gdyż pomimo, że nieraz do niego strzelano i nieraz „farbował", zawsze z życiem uchodził i stale robił szkody w ziemniakach, stale zmieniał miejsce pobytu, tak, że trudno go było spotkać, a zwłaszcza, że nagonkę atakował i przerywał. — Otóż raz zameldowali mi leśni, że „zaczarowany" zaległ w gąszczu jodłowym pod górą Luboszczem. Wybraliśmy się zaraz do lasu, a ponieważ był u mnie chwilowo pewien młodzieniec 20-letni, który się miał za dobrego myśliwego i opowiadał o swoich sukcesach w polowaniu na dziki, więc go zabrałem ze sobą. Na stromej pochyłości, między dwoma drogami a właściwie wąwozami, idącemi z góry na dół, w parceli gąszczu jodłowego do 3 metrów wysokiego, był barłóg „zaczarowanego". Cichutko obeszliśmy około 10-morgową parcelę i obstawili myśliwymi, młodzieńcowi przypadło stanowisko w jednym z wąwozów w połowie parceli. Gdyśmy jamniki spuścili ze sfór, dzik zaraz „ruszył" i chciał przeskoczyć w poprzek drogę, w tem miejscu około dwóch metrów szeroką i głęboką, lecz pod jego ciężarem brzeg się oberwał i dzik spadł na dno o kilka kroków, od tam właśnie stojącego młodzieńca, który mu drogę zagradzał. Na szczęście dzik nie ciął go kłem, lecz włożył głowę pomiędzy strzelbę a pas od niej zwisający, tak, że niosąc strzelbę na karku, w galopie pomknął na dół. — Przerażony myśliwy widocznie nie miał czasu, czy odwagi wystrzelić, — i krzycząc: „dzik, dzik!" biegł drogą do góry, by u sąsiada szukać ratunku. Strzelbę znaleźliśmy kilkadziesiąt kroków dalej, gdyż dzik szczęśliwie się z niej wyplątał, nie uszkodzoną, lecz tylko mocno zabłoconą. I znowu „zaczarowany" uszedł szczęśliwie, nie strzelany! — Innym razem ten sam odyniec rzucił się na leśnego, który w głębokim śniegu podchodził do barłogu, by go wyruszyć na myśliwych. Na szczęście nie okaleczył leśnego, tylko nabawił go nie małego strachu, bo wpadł mu między nogi i leśny duży, ciężki chłop, przejechał się na nim, zwrócony twarzą do ogona, ze trzydzieści kroków, zanim spadł z tego improwizowanego wierzchowca. Gdy go spytałem: jak wam się Marcinie jechało?, — odpowiedział: „Proszę panocka podle, bo szelma bardzo trzęsie".

Innym razem polowałem na sąsiedniej górze Ćwilinie; jamniki silnie ujadały w miejscu, zaraz wiedziałem, że na dzika. Więc ostrożnie i możliwie cicho podchodzę do tego miejsca i rzeczywiście zobaczyłem dosyć dużego dzika „wycinka", który się psom bronił w miejscu, lecz gdy mnie zobaczył, fuknął i wielkim susem rzucił się na dół. Był to gęsty las jodłowy, około 30-letni, (krokwiaki), tak się jednak zdarzyło, że dzik skoczył między dwie jodełki, trochę od siebie odchylone. — Wprawdzie przodek dobrze przeszedł, lecz tył nie mógł się zmieścić, tak że dzik zawisł w powietrzu, bo przedniemi nogami nie mógł ziemi dosięgnąć, gdyż było to na znacznej pochyłości, a tył miał uwięziony między dwoma drzewami. Pieski korzystały z jego bezbronności i skubały go niemiłosiernie, tak, że powstał straszny hałas, którym zwabiony leśny nadbiegł i „ciupagą" dzika ubił.



†

Dnia 19 maja br. w Krakowie zakończył życie Stanisław Hr. Wodzicki, urodz. 4 stycznia 1843 r. zapewne najstarszy członek M. T. Ł.



Do końca życia zachował rzeźkość i młodzieńczy zapał do polowania, czego dowodem, że w lecie w roku 1930 w Lesku polował na kuropatwy z legawcem.

Posyłam zdjęcie fotograficzne, na którem widzimy St. Hr. Wodzickiego, jako 87 letniego starca ze strzelbą w ręku na polowaniu z wnukiem, na ptaszki z psem legawym.

A. Krasicki, del. M. T. Ł.

MISTRZ-ROTMISTRZ

Dalipan nie łżę

(Ciąg dalszy)

Tak się strzela

Kniejo Pipichowska, ty najpiękniejsza z pięknych, sama dla siebie wartą jesteś osobnego myśliwskiego obrazka! Któż potrafi wyśpiewać krasę twej przyrody, kto urok twych głębin leśnych. Kto pokusi się o oddanie słowami uczucia myśliwego, który dostąpił szczęścia, by ze strzelbą w ręku przebiegać twoje ostępy.

Położona u stóp Karpat, na równinie licznemi przerżniętej debrami, gdzie strumyki w bagnach giną, tak pożądanemi dla czarnej, dziczej czeredy. Wielkie przestrzenie gąszczy bukowych, z których tu i ówdzie strzela w niebo prastara, gonna jodła, świadek odległej przeszłości, matecznikiem są dla całych dziczych rodzin i pokoleń. Nie rzadkim był też tu gościem przed wojną, królewski zwierz naszych Karpat, jeleń. Nie odprawia tu wprawdzie swoich godów weselnych, ale na zimowych polowaniach z nagonką widywaliśmy całe jelenie rudle. Zachodziły tu niekiedy rysie i żbiki, spotykano nawet tropy niedźwiedzie. Drobnej zwierzyny nie było wiele, lecz któż na nią patrzy, gdy go czeka zwierz godzien kuli.

Co za rozkosz dla myśliwego, jaka okazja puszczenia wodzów najbujniejszej fantazji myśliwskiej, kiedy stojąc na stanowisku, spodziewasz się ujrzeć potężnego rogala, lub srogą sylwetę samotnego odyńca. Może cię Djana wieńcem jelenim obdarzy, lub parą wspaniałych szabel, a może żbik lub ryś na ciebie z haszczów wyskoczy, lub uradujesz twą duszę trudnym strzałem do szybującego wśród wierzchołków drzew jarząbka.

Skoro więc oddaję obrazki myśliwskie z kniei, nie dziwota, że niejeden z nich ma za scenę pipichowskie ostępy.

Roku Pańskiego, nie pomnę już którego, trzydniowe polowanie, otropionych dzików setka.

Już się niestety trzecia część tej wspaniałej trylogji ma ku końcowi, czterdzieści dzików mamy na rozkładzie. Już z ostatniego miotu wyciągają zwierzynę ubitą, kiedy pan Issakowicz, poseł do parlamentu nieboszczki babci Austrji, wracając z długiej flanki, prosi władzę niezrównanej pipichowskiej kniei, Pana Wielickiego, aby kazał wziąć jeszcze jeden miot, mały skrajek od gościńca. Widział bowiem, jak tam przeszły niestrzelane, dwie bardzo grube sztuki, a skonstatował obciąwszy je, że gościńca nie przekroczyły. Zgadza się gościnny gospodarz, więc już trochę o zmroku zajmujemy wskazane nam stanowiska. Między innymi stają obok siebie bar. Hey de L..., niżej podpisany i pan Runjatowski. Na flance ponownie grasuje parlamentarna powaga, inicjator tego nadprogramowego miotu.

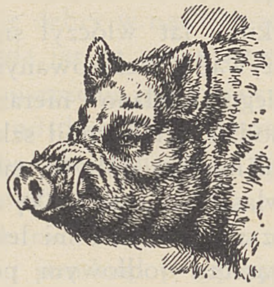
Wynurza się z gąszczy olbrzymia okara, lonżując nasze stanowiska. Strzela baron, dzik idzie, nie naznaczywszy. Strzelam ja dwa razy, nawet tempa nie zmienił. Gdy mija stanowisko Runjatowskiego, padł strzał i dzik jak rażony piorunem, usunął się na ziemię, rapetami chmury śniegu podnosząc. Tak się strzela, woła do nas triumfator.

Po miocie idziemy oglądać nasze niefortunne strzały. Baron ma dobrą farbę, znalazł szczeć obciętą. Moje kule ścięły dwa buki, więc wycofuję się z konkursu. Kulę Runjatowskiego znajdujemy w jodle, o metr conajmniej nad dzikiem... Tableau!!!

Ogłaszamy zwycięstwo barona, a Runjatowski długo jeszcze szukał daremnie w dziku drugiej kuli, której nie było. Równocześnie nadchodzi z flanki pan Issakowicz, ubiwszy również bardzo grubą sztukę.

Więc niezapomniana, niezrównana kniejo pipichowska, czyż niesłusznie na twą cześć peany śpiewam?

Sto dzików otropionych, 42 szt. na rozkładzie w tem dwa olbrzymie odyńce.



ROMAN ĆWIERZEWICZ

Nowy środek do czyszczenia broni

Znaną jest powszechnie rzeczą, że pociski płaszczykowe, zwłaszcza wystrzelone z t. zw. szybkobieżnych naboi, osadzają w lufach wśród gwintów cząstki powłoki płaszcza, skutkiem czego już nawet po kilkudziesięciu strzałach powstaje osad z miedzi i niklu. Skoro się tego osadu w czas nie usunie, może powstać zmiana profilu gwintu, w następstwie czego zmniejszy się precyzja strzałów, wzrośnie ciśnienie gazów, a ponadto pod osadem metalowym powstaną ogniska rdzy. Dla usunięcia tych szkodliwych złogów metalowych z luf, próbowano rozmaitych środków i to chemicznych i mechanicznych. Były to jednakowoż tylko półśrodki. Chemiczne preparaty nie działały dość sprawnie, a przy użyciu środków mechanicznych, jak szczotka stalowa, szmirgel etc., zachodziło niebezpieczeństwo poważnego uszkodzenia lufy. Przed kilku miesiącami pojawił się w Niemczech nowy środek do czyszczenia luf, nazwany przez wynalazcę „Triwol", który przy umiejętnem użyciu usuwa w przeciągu kilku sekund wszelkie osady tak metalowe jak i powstałe ze spalenia prochu i to bez żadnej szkody dla luf.

Jest to t. zw. wata stalowa o wyglądzie oczyszczonych kłaków, kolor ma szary, a w dotknięciu jest nieco sztywna. Używa się tego preparatu w następujący sposób:

Bezpośrednio po strzelaniu należy lufę przetrzeć kłakiem natłuszczonym oliwą do smarowania broni, następnie owija się wycior lekko watą, a warstwę waty owija się Triwolem, poczem przeciera się kilkakrotnie lufy tam i zpowrotem. Już po kilkukrotnem przeciągnięciu stempla zaopatrzonego w Triwol przez lufę, wszelkie osady zostaną zupełnie usunięte. Niebezpieczeństwo uszkodzenia luf przy użyciu Triwolu nie zachodzi, ponieważ preparat ten składa się z delikatnych jak jedwab włókien stalowych bardzo elastycznych. Zauważam, że Triwol nadaje się również dobrze do czyszczenia luf zaołowionych, a dobrze jest wycior okręcony Triwolem, przed wprowadzeniem do lufy zanurzyć w Ballistolu.

Triwol otrzymałem od wytwórcy jako próbkę bez wartości, wypróbowałem go wszechstronnie i na tej podstawie mogę go towarzyszom myśliwym z całem zaufaniem polecić. Jako przykład podaję, że posiadam angielski karabin wojskowy, którego lufa tak była zanieczyszczona niklem, że prawie gwintu widać nie było, skutkiem też czego rozrzut pocisków był bardzo duży; po usunięciu osadu niklowego z lufy przy pomocy Triwolu, gwinty wystąpiły jak nowe i broń znowu dobrze strzela.

Triwol wytwarza słynna Fabryka Broni w Suhl: Christian Friedrich Triebel, a zastępstwo jej na Polskę posiada znana Firma J. Sosnowski w Warszawie, ulica Ossolińskich 1.



Sprawozdanie

z polowań zbiorowych i w pojedynkę Towarzystwa im. św. Huberta w Krakowie

Powyższe Towarzystwo dzierżawi obecnie w powiecie krakowskim 6 obwodów łowieckich obszaru 2.148 ha, w powiecie chrzanowskim lasy OO. Karmelitów bosych w Czerny z przyległemi 5 obw. łow. gminnemi, obszar 3784 ha i w pow. myślenickim Wola Radziszowska 1459 ha.

Polowań zbiorowych odbyło się w przeszłym sezonie 14. Ogólny rezultat polowań na terenach pow. krakowskiego:

a) na 6 polowaniach zbiorowych: 2 lisy, 336 zajęcy, 99 kuropatw, 13 bażantów, 16 szkodników;

b) w pojedynkę: 2 rogacze, 7 bażantów, 357 kuropatw, 1 przepiórka, 34 kaczek, 78 szkodników.

1 rogacz strzelony został przez kłusownika w czasie ochronnym — dochodzenia sądowe.

W powiecie chrzanowskim odbyło się:

a) 6 polowań zbiorowych, na których strzelono: 1 rogacza, 6 lisów, 226 zajęcy, 26 kuropatw, 12 bażantów, 5 słonek;

b) w pojedynkę: 1 rogacz, 1 borsuk, 7 bażantów, 231 kuropatw, 2 przepiórki, 170 szkodników.

W powiecie myślenickim, Wola Radziszowska 86 zajęcy i jeden bażant na 2 polowaniach zbiorowych.

Na kuropatwy nie polowano.

Ogólna suma strzelonej zwierzyny: 5 rogaczy, 8 lisów, 1 borsuk, 693 zajęcy, 39 bażantów, 5 słonek, 703 kuropatw, 6 przepiórek, 34 kaczek, 264 szkodników.

Stan zajęcy był w ogóle bardzo dobry, jak również i kuropatw.

Kaczek dzikich było w lecie bardzo mało, pokazały się dopiero późną jesienią w wielkiej ilości.

Przepiórka należy tu do rzadkości.

Wypuszczonych zostało w miesiącu lutym br. 12 zajęcy i 25 bażantów do lasów OO. Karmelitów w Czerny, zaś w jesieni 1930 r. 10 bażantów zakupionych w bażantarni w tut. Wolskim lesie do Tyńca.

Wogóle wypuszczono dotychczas w obu powiatach: 12 zajęcy i 85 bażantów.

Według relacji strażników, młode zające marczaki utrzymały się dobrze i zapowiada się bardzo dobry rok na zające, a o ile czerwiec dopisze, także i na kuropatwy.

Dziki, które często zachodziły do lasów w Czerny, robiąc osobliwie w lecie wielkie szkody w ziemiopłodach, od czasu ostatniej srogiej zimy nie ukazują się wcale. Jak mi opowiadano, miało kilka sztuk w sąsiednich lasach Gorynickich w tymże czasie wymarznąć.

Kłusownictwo objawia się przeważnie w zastawianiu wnyków na zające i sarny i pomimo nadzoru przez straż łowiecką, jakoteż interwencji Posterunku Policji, nie da się ta plaga całkowicie usunąć. Przypisać to należy w pierwszej linji niskim wymiarom kar sądowych.

Z wielkiem uznaniem muszę na tem miejscu zaznaczyć działalność Post. Pol. Państw., a mianowicie: w Krzeszowicach, Nowej Górze, Skawinie i Głogocowie — przy tępieniu kłusownictwa.

Kraków, w maju 1931.

(Stiller) gen. dyw. w st. sp.
Prezes i delegat

Z WYDAWNICTW

„Echa Leśne" nr. 5. Czasopismo, wydawane przez Związek Leśników i poświęcone propagandzie leśnictwa przynosi w każdym zeszycie obok fachowych wiadomości bogaty dział literacki, mogący zainteresować najszersze koła społeczeństwa. Wartość czasopisma podnosi estetyczna szata graficzna i dobór ilustracyj. W majowym numerze czytamy ciekawe uwagi o hodowli dąglazji, skreślone przez K. Maciejowskiego, wskazówki zakładania żywopłotów (inż. L. Ossowski) oraz obszerny artykuł J. Drzewieckiego, objaśniający szczegółowo korzyści produkcji jedwabników. W dziale łowieckim zwraca uwagę artykuł L. Wagnera p. t. „Łowiectwo, a Lasy Państwowe" i feljeton inż. J. Kosiny o życiu i zajęciach niedźwiedzia w ciągu roku. W części literackiej znajdujemy poezje J. Eismonda, M. Ringa, W. Orkana

i A. Zahorskiej, artykuł A. Wysockiego, przypominający znaczenie Stanisława Witkiewicza dla kultury polskiej i aktualny artykuł T. M. Nittmana p. t. „Hiszpanja bez króla". Pozatem zeszyt zawiera kronikę „Z miesiąca", kącik dla Pań, sprawozdania teatralne, recenzje ostatnich wydawnictw oraz kącik rozrywkowy. Nowele: „Sprawa honorowa" T. Garczyńskiego, „Cmentarz na skwerze" L. Chociłowskiego i „Zagrób" Jankowskiego dopełniają całości zeszytu majowego. Do numeru jest dołączony specjalny dodatek „Niwa Leśna" (32 strony) poświęcony popularyzacji wiedzy leśnej wśród leśników - wykonawców. Adres redakcji: Warszawa, Nowy Świat 36.

NADESŁANE

Międzynarodowe Zawody Strzeleckie, Myśliwskie i łuczne o Mistrzostwo Świata w Polsce

KOMITET HONOROWY.

Do składu Komitetu Honorowego Międzynarodowych Zawodów Strzeleckich, Myśliwskich i Łucznych w Polsce weszli: Prezes Komitetu Honorowego, Walery Sławek — b. Prezes Rady Ministrów, Józef Beck — Vice-minister Spraw Zagranicznych, Juljusz Bielski — Prezes Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Ove Björn (Danja) — Viceprezes Międzynarodowego Związku Strzeleckiego, inż. Jan Haluch-Brzozowski — Prezydent m. Lwowa, Jean Carnot (Francja) — Prezes Międzynarodowego Związku Strzeleckiego, płk. Dypl. Stefan Józef Ćwiertniak — Szef Departamentu Piechoty M. S. Wojsk., Dr. Sławomir Czerwiński — Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, gen. Walerjan Czuma — Komendant Garnizonu Lwów, Sen. Ferdynand Demets (Belgja) — Viceprezes Międzynarodowego Związku Strzeleckiego, Maxime Ducroq (Francja) — Prezes Międzynarodowego Związku Łowieckiego, gen. Kazimierz Fabrycy — II-gi Viceminister Spraw Wojskowych, Leon Gallas — Starosta Grodzki m. Lwowa, Dr. Roman Górecki — Prezes Banku Gospodarstwa Krajowego, Dr. Stefan Hubicki — Minister Pracy i Opieki Społecznej, ppłk. Keller (Szwajcarja) — Viceprezes Międzynarodowego Związku Strzeleckiego, płk. dypl. Władysław Kiliński — Dyrektor Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, gen. Daniel Konarzewski — I. Viceminister Spraw Wojskowych, inż. Alfons Kühn — Minister Komunikacji, Janusz Jagrym-Maleszewski — Komendant Główny Policji Państwowej, Ignacy Matuszewski — b. Minister Skarbu, Dr. Bronisław Nakoniecznikoff-Klukowski — Wojewoda Lwowski, inż. Mieczysław Norwid-Neugebauer — Minister Robót Publicznych, Andre Parmentier — Sekretarz Międzynarodowego Związku Strzeleckiego, Bronisław Pieracki — Viceprezes Rady Ministrów, Dr. Bronisław Pierzchała — Prezes Polskiego Związku Łuczników, gen. Tadeusz Piskor — Szef Sztabu Głównego, gen. Bolesław Popowicz — D-ca Korpusu Nr. VI. Lwów, Aleksander Prystor — Prezes Rady Ministrów, gen. inż. Władysław Jaxa-Rożen — Komendant Główny Związku Strzeleckiego, Dr. Felicjan Sławoj-Składkowski — Minister Spraw Wewnętrznych, gen. Kazimierz Sosnkowski — Inspektor Armji, gen. Edward Rydz-Śmigły — Inspektor Armji, płk. Jan Dojan-Surówka — Prezes Polskiego Związku Broni Małokalibrowej, płk. dypl. Juljusz Ulrych — Prezes Polskiego Związku Związków Sportowych, August Zaleski — Minister Spraw Zagranicznych, gen. dr. Ferdynand Zarzycki — Minister Przemysłu i Handlu.

KOMITET ORGANIZACYJNY.

Na czele ściślejszego Komitetu Organizacyjnego Międzynarodowych Zawodów Strzeleckich, Myśliwskich i Łucznych w Polsce stanęli: Prezes — Antoni Anusz, Vice-prezes — ppłk. Bolesław Ostrowski, sekretarz główny — mjr. dr. Tadeusz Felsztyn, Leon Chrzanowski, Wacław Drojanowski, Janina Dymecka, dr. Henryk Grossman, Zygmunt Hempel, gen. Walery Marjański, płk. Bolesław Pytel, ppłk. dypl. Władysław Rusin, ppłk. Jan Świątecki, mjr. dypl. Ignacy Wądołkowski, oraz przewodniczący i sekretarz poszczególnych komisji: ppłk. Józef Pecka, por. Juljan Leśniewski, dr. Wacław Lipiński, red. Wiesław Bończa-Tomaszewski, prof. Rudolf Wacek, Jakób Krzywoszyński, mjr. Edward Magiera, prof. Witold Minkiewicz, kpt. Karol Ludwik, inż. Michał Kolbuszewski, Zbigniew Adamowicz, dr. Tadeusz Polak, dr. Adam Piasecki, Zbigniew Glinicki, gen. Czesław Jarnuszkiewicz, Roman Zawiślański, Stanisław Madejski.

REPREZENTACJE NARODÓW WE LWOWIE.

Komitet Organizacyjny Międzynarodowych Zawodów Strzeleckich, Myśliwskich i Łucznych w Polsce po porozumieniu się z Międzynarodowym Związkiem Strzeleckim, zwrócił się do wszystkich jego członków z zaproszeniem o wzięcie udziału w organizowanych zawodach, w rezultacie czego reprezentacje: Czechosłowacji, Danji, Finlandji, Francji, Grecji, Szwajcarji, Szwecji, Węgier i Włoch, zgłosiły już swój akces na przyjazd do Lwowa, z pozostałych zaś członków Międzynarodowego Związku Strzeleckiego zespoły zagraniczne: Brazylji, Estonji, Hiszpanji, Jugosławji, Łotwy, Niemiec, Norwegji, Peru, Wielkiej Brytanji, jak wynika z treści przeprowadzanej obecnie korespondencji, zamierzają również wziąć udział z Zawodach, tak jak i spodziewane są zespoły: Egiptu, Haiti, Holandji, Meksyku, Monaco, Portugalji, St. Zjednoczonych Ameryki, Rumunji i Turcji.

KONKURENCJE STRZELAŃ O MISTRZOSTWO ŚWIATA.

Tegoroczne Międzynarodowe Zawody Strzeleckie organizowane w Polsce obejmują strzelania o Mistrzostwo Świata — z karabinu dowolnego, wojskowego i małokalibrowego, pistoletu, broni myśliwskiej (strzelanie do krążków i do jelenia w biegu), oraz łuku.

ULGI I UŁATWIENIA W PODRÓŻY DO POLSKI.

Dla zawodników, uczestników Międzynarodowych Kongresów, członków wycieczek zagranicznych, Komitet Organizacyjny uzyskał cały szereg ulg: wizowych, kolejowych i celnych, które przewidują całkowite zwolnienie od opłat wizowych (na wjazd do Polski), bezpłatne bilety powrotne na kolejach polskich, zwolnienie od opłat celnych wwożonej broni i amunicji, 50% zniżkę od normalnych opłat celnych na wwożone przedmioty podlegające ocleniu i t. p.

Prezydjum Międzynarodowego Związku Strzeleckiego w Paryżu ze swej strony zwróciło się do ministerstw kolei poszczególnych państw tranzytowych o udzielenie zniżki kolejowej zagranicznym reprezentacjom jadącym do Lwowa.

Na stacjach granicznych Polski będą dyżurowali umundurowani członkowie Polskiego Związku Strzeleckiego, którzy będą udzielać gościom wszelkiej pomocy przy manipulacjach granicznych, oraz będą poszczególnym grupom towarzyszyć w ich podróży do Lwowa.

INFORMACJE.

Wszelkich informacji o Mistrzostwach Strzeleckich Świata w Polsce udziela sekretarjat Komisji Propagandy — Warszawa, Myśliwiecka 3, tel. 537—31 w godz. 9—15.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16